NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 16. | Wąbrzeźno, dnia 14 kwietnia 1928 r. | Rok 5

Ewangelja

św. Jana rozdz. 20, wiersz 19—31.

Gdy tedy był wieczór dnia onego pierwszego szabatów, a drzwi były zamknione, kędy uczniowie byli zgromadzeni dla bojażni żydów: przyszedł Jezus i stanął w pośrodku i rzekł im: Pokój wam. A to rzekłszy, ukazał im ręce i bok. Uradowali się tedy uczniowie, ujrzawszy Pana. Rzekł im tedy zasię: Pokój wam. Jako Mnie posłał Ojciec i Ja Was posyłam. To po wiedziawszy, tchnął na nich i rzekł im: Weźmijcie Ducha świętego. Których odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane. A Tomasz, jeden ze dwanacie, którego zowią Dydymus (bliźniak), nie był z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Mówili mu tedy drudzy uczniowie: Widzieliśmy Pana. A on im rzekł: Jeśli nie ujrzę w ręku Jego przebicia gwoździ i nie włożęli ręki mojej w bok Jego, nie uwierzę. A po ośmiu dni byli zasię uczniowie Jego w domu i Tomasz z nimi. Przyszedł Jezuy drzwiami zamknionemi i stanął w pośrodku i rzekł: Pokój wam. Potem rzekł Tomaszowi: Włóż sam palec twòj, a oglądaj ręce Moje i ściągnij rękę twoją, a włóż w bok Mój: a nie bądź niewiernym, ale wiernym. Odpowiedział Tomasz, i rzekł Mu: Pan mój i Bóg mój. Powiedział mu Jezus. Iżeś Mnie ujrzał, Tomaszu, uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli a uwierzyli. Wieleć i innych znaków uczynił Jezus przed oczyma uczniów Swoich, które nie są w tych księgach napisane. A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Chrystus Syn Boży a iżbyście wierząc żywot mieli w Imię Jego.

\+ +

Nauka z ewangelji.

Czemu Tomasz nie wierzył Apostołom mówiącym, że Pan Jezus zmartwychwstał?

Wiara Jego w Chrystusa była jeszcze zbyt słabą, a cud zmartwychwstania przechodził jego pojęcie. Przyczyną tego braku wiary nie była pycha lub zła wola, lecz niepojmowanie tego co prorocy i sam Jezus przepowiedzieli o przyszłych mękach i zmartwychwstaniu. Wydarzyło mu się to samo, co innym Apostołom, którzy także nie chcieli wierzyć niewiastom, przynoszącym im wiadomość o zmartwychwstaniu Pańskiem; byli oni wszyscy nieskorymi do wiary, jak to powiedział był Zbawiciel dwom uczniom idącym do Emaus,

Jak wyleczył Pan Jezus św. Tomasza z powątpiewania?

1. W ten sposób, że umyślnie z jego powodu okazał się uczniom. 2. Że powtórzył słowa jego: „Jeśli nie włożę ręki mojej i t. d.“ Tym sposobem okazał mu Pan Jezus Swą wszechwiedzę i wszechmocność. 3. W Swej pobłażliwości raczył uwzględnić słabą wiarę Apostoła, pokazał mu Swe rany i wezwał go, aby, dotknąwszy ich, przekonał się o rzeczywistości Jego zmartwychwstania. 4. Słowami „miej wiarę“ udzielił mu łaski i siły wiary. Bez tej łaski nie byłby nigdy Tomasz doszedł do zupełnej i żywej wiary.

Co znaczą słowa: „Pan mój i Bóg mój?“

Są one wyrazem szczerej, silnej i pokornej wiary nietylko w zmartwychwstanie, ale i w Bóstwo Chrystusa. Tomasz w zmartwychwstaniu Chrystusa oglądał człowieczeństwo Chrystusa, a teraz uwierzył i w Jego Bóstwo. Dlatego rzekł mu Pan Jezus: „Tomaszu, uwierzyłeś, iżeś Mnie ujrzał!“

Czemu Pan Bóg dopuścił, że Tomasz tak długo opierał się wierze w zmartwychwstanie Pańskie?

1. Stało się to dlatego, aby Apostoła tem więcej utwierdzić w wierze w zmartwychwstanie i Bóstwo Chrystusowe. 2. Aby i nas ugruntować w wierze, w Tomaszu bowiem mamy tem lepszego i wiarogodniejszego świadka tego zmartwychwstania, gdyż nie był łatwowiernym, lecz raczej niedowiarkiem.

Co znaczą słowa: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli?“

Stanowią one pociechę dla przyszłych wiernych, co Zbawiciela nie oglądali, a jednak Weń wierzą i umiłowali Go. Wiara jest czystszą i cenniejszą, jeśli się nie opiera na oglądaniu

własnemi oczyma, lecz na Słowie Bożem i Jego prawdziwości; dlatego też darzy tem większem szczęściem i zasługą, z im większą pokorą i prostotą serca ktoś wierzy Słowu Bożemu.

Jak Gotlieb Denda zabił djabła.

Gotlieb Denda płatał grube figle i nie zaprzestał tego, mimo, iż niektóre z nich grubo opłacać musiał. Płacić musiał za to, że kąpiącej się w otwartem jeziorze żonie i córce pana pastora schował ubrania, wobec czego udać się musiały w toalecie kąpielowej do najbliższego domu, jak również za to, że zamknął panią rektorową w pewnej dyskretnej ubikacji, gdzie musiała kilka godzin spędzić aż do powrotu męża, lub wreszcie za przywiązanie żyda Abrahama do płotu przy ulicy. Wszystko to grubo go kosztowało.

Najdotkliwiej jednak odpokutował figla jakiego wyrządził djabłu, a to z tego powodu że wówczas był jeszcze pod opieką ojczulka.

Denda, będąc jeszcze chłopakiem sypiał zwykle w szopie na sianie. Zdarzyło się jednak razu pewnego, że zajrzawszy głęboko do kieliszka, nie był pewnym, czy wdrapie się po drabinie na drągi i położył się z tego powodu na klepisku na słomę.

Niewiadomo czy nie zamknął za sobą drzwi, czy też pomimo tego jeszcze nie zasnął zjawił się w stodole djabeł w postaci kozła, w której to postaci się zwykle ludziom ukazuje, gdy opuszcza swe piekielne mieszkanie.

Zjawienie się rogatego w stodole wcale nie spodobało się Gotliebowi. Uważał bowiem legowisko swoje za wyłączną własność i ani myslał dzielić takiego choćby na jedną noc z djabłem.

Denda był ewangelikiem, jednak w rodzinie jego, jak zresztą u dużej części ówczesnych Mazurów trzymano się obrządków katolickich i świeca Dendy, którą corocznie na Pańskie Przemienienie w kościele katolickim stawiał, była jedną z największych.

Niezawodnie więc byłby Denda udał się do mieszkania po święconą wodę i nią djabła wypędził, gdyby po pierwsze nie był wstrzymał go respekt przed ojcem, który był w każdym razie większy niż bojaźń przed djabłem a po drugie nie był się obawiał, że ten ostatni w międzyczasie mógłby mu umknąć.

Wstał więc i bez namysłu chwycił djabła za rogi, by się z nim załatwić. Nie liczy łsię jednak z tem, że z powodu nie małej ilości gorzałki jaką wlał w siebie, siły jego były osłabione. Djabeł niebawem na tem się spostrzegł i tupnąwszy przedniem lewem kopytem, parsknął głośno a następnie wspiął się nieco na tylnie nogi i pchnął rogami Dendę w piers tak silnie, że ten upadł jak długi, przyczem uderzył głową o sieczkarnię stojącą w stodole i wybił sobie znacznego guza.

Przy innej sposobności byłby Denda niewątpliwie zaklął i życzył swemu napastnikowi, by go wszyscy djabli wzięli, lecz w owym wypadku życzenie takie oczywiście byłoby bezcelowe, co też Denda mimo swego podchmielonego stanu sobie uprzytomnił.

Ponieważ djabeł nie atakował go dalej i udawał jakoby wogóle o niego się nie troszczył więc Denda wstał i wyszedł ze stodoły w zamiarze udaniaj się do izby po święconą. wodę Czuł w sobie swoą nienawiść do szatana i był w momencie nawet gotów wyznać ojcu, że wyniósł ukradkiem pół korca gryki, z obawy, oczywiście tylko jeśli ojciec zauważy, że pił gorzałkę i pytać będzie skąd wziął pieniądze na takową. Zemścić się na djable za poniesioną porażkę chciał się nawet choćby w zamian za to miało mu się co oberwać od ojca.

Przechodząc jednak podwórze zmienił nagle swój plan. Ujrzał bowiem siekierę leżącą na klocu od rąbania drzewa i zabłysła mu myśl, że wodą święconą może wprawdzie wypędzić djabła ze stodoły, lecz ten przez to nie poniesie zasłużonej kary, natomiast jednem uderzeniem siekierą, być może uda się mu zgładzić go na zawsze.

Jak pomyślał tak zrobił. Porwawszy siekierę wrócił do stodoły, gdzie djabeł stał nieruchomy i jak Gotliebowi się zdawało, bardzo ciekawie patrzył. Ten nie mówiąc słowa uderzył go obuchem między rogi, że djabeł ledwie zdążył zabeknąć, wywrócił się i już nie dał znaku życia.

Denda w przekonaniu, że dokonał czynu niebywałego dotąd na świecie, który go może okryć laurem w świetości, położył siekierę na klepisku a chcąc cielsko djabelskie ze stodoły usunąć, zauważył, że ukręcił mu jeden róg. Chwycił go więc za pozostały, wyciągnął na podwórze i ulokował tamże obok kupy mierzwy, następnie wrócił do stodoły, poszukał ukręconego djabłu roga, położył go na sieczkarni, o którą to przedtem był sobie wybił guza i udał się na spoczynek.

Gotlieb Denda był rychłym ptakiem jak to się mówi, a to dzięki temu, że ojciec w tym kierunku wykonywał ścisłą kontrolę. Więc i następnego dnia ledwie że świtło już Gotlieb zerwał się ze swego legowiska, a że był ubrany jeszcze od dnia poprzedniego, zabrał djabelski róg z sieczkarni i udał się na miejsce, gdzie w nocy położył był cielsko szatana, lecz o dziwy tego tam nie było.

Gdyby Gotlieb Denda był wątpił, że zwierzę, które zabił było rzeczywiście szatanem teraz był na to jasny dowód: cielsko jego mocy piekielne zabrały.

Udając się co tchu do mieszkania, opowiedział Gotlieb rodzinie co zaszło, a gdy mu nie dowierzano, pokazał na dowód róg, który djabłu ukręcił.

Jeśli w mazurskiej wiosce zdarzy się zajście nadzwyczajne, to wieść o niem szerzy się z błyskawiczną szybkością. Tak było i w tym wypadku. Nim nadeszła pora śniadania już rozniosła się wieść do pogranicznych wiosek i zanim rodzina Dendów zasiadła do stołu, zjawił się rządca sąsiedniego folwarku i bardzo pilnie wypytywał Gotlieba o całem zajściu. Gotlieb opowiadał z niemałą dumą cały przebieg, pokazał zdobyty róg a rzuciwszy się w piers zakończył twierdzeniem, że podczas całego wydarzenia nie odczuwał wcale strachu.

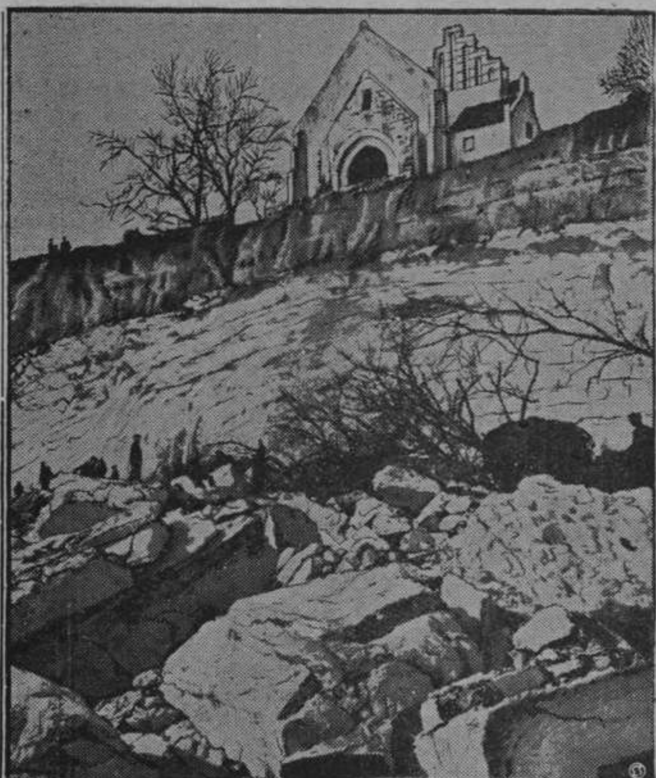
Gdy skończył, rządca wyszedł do powózki stojącej na ulicy, wrócił za chwilę do izby prowadząc za sobą fornala z koźlą skórą w ręku. Skóra, jak widać było, była zupełnie świeża i musiała być co dopiero ściągnięta. Rządca

kazał takową złożyć na podłodze i zażądał 8 talarów za kozła, którego Gotlieb w nocy zabił, co do czego nie było wątpliwości, a który był własnością majątku.

Dodał jeszcze, że krótko przede dniem znaleziono krwawiącego się kozła z utrąconym rogiem w krzakach blisko folwarku, dokąd widownie zawlec się zdołał mimo okaleczeń.

Na tem skończył się pierwszy akt dramatu csncenowanego przez Gotlieba Dendę. Drugi, z iktórym występowali obaj Dendowie, starszy i młodszy, dyskretnie przemilczę, jak milczał o nim również i Gotlieb sam. Wogóle Gotlieb Denda niechętnie słyszał, gdy ktoś o tej historji wspomniał, co jednak nie przeszkodziło, że wieść o niej coraz bardziej się szerzyła i utrzymała się do obecnej chwili.

Rezydencja „Napoleona arabskiego".



Nieprzychylna Anglji prasa nazywa króla Hedszasu Ibn Sand'a przedwcześnie „Napoleonem Arabji". Prawdopodobnie Ibn Sand sam marzy o nadaniu sobie tego przydomku po wyzwoleniu swoich współwyznawców. Na obrazku naszym widzimy rezydencję wojowniczego króla, który zna się też nieco na reklamie. Wiadomości o nowej wyprawie wojennej jakoś nie zgadzają się z prawdą.

Rekordowa rozwódka.

Nikogo nie dziwi, że w Sowietach spotyka się bardzo często kobiety i mężczyzn, którzy przeżyli w krótkim czasie kilka, a nawet kilkanaście rozwodów. Jest to wynikiem łatwego uzyskiwania ślubów i rozwodów.

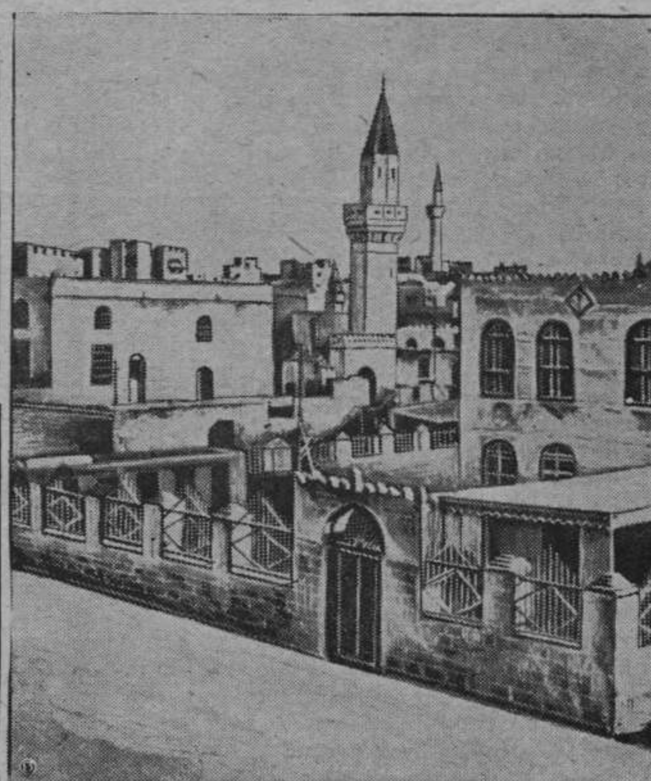
W innych państwach cywilizowanych rozwody są utrudnione, wobec czego Ameryka może się szczycić, iż u niej a nie gdzieindziej, ustanowiony został światowy rekord rozwodowy. Zdobyła go 21-letnia mieszkanka Sioux City, p. Flossie Lane, która dnia 14 b. m. poraz 6-ty stanęła na ślubnym kobiercu, w nadziei, że jej szósty małżonek będzie inny od pięciu niefortunnych poprzedników.

Na zapytanie reporterów pism amerykańskich, w przededniu ślubu, jakie ma zdanie o swych pięciu b. małżonkach, p. Flossie Lane odpowiedziała:

— Nie mogę o nich nic powiedzieć, gdyż wychodząc po raz szósty zamąż, mogłabym obrazić mimowoli mego przyszłego małżonka. Sądzę jednak, że rozwód jest nieraz ostatnią deską ratunku w niedobranem małżeństwie.

Ze słów tych wynika, że p. Flossie Lane nie rezygnuje z ewentualnych dalszych rozwodów.

Fale morskie kruszą skały.



Na południe Kopenhagi leży półwysep Stevens Klint otoczony morzem. Na końcu półwyspu stoi mały kościółek, który jeszcze przed kilku laty znajdował się w oddaleniu kilkuset metrów od morza. Pracujące odmęty morskie podmywały wybrzeże coraz więcej, tak, że część kościółka już się zapadła. Także cmentarz została częściowo zniszczony. Po kościółku pozostała jeszcze wieża z miejscem na ołtarz.

Skarb Watażki

20) POWIEŚĆ.

Trzymajcie mnie na łańcuchu, póki zdrów nie wstanę, a potem chodźcie ze mną na miejsce, gdzie skarb leży, a jak się pogodzimy sprawiedliwie, wtedy dopiero ja wolny jak ptaszek. Teraz ja skończyłem, jasny panie, teraz nagadałem się dosyć, wy teraz mówcie...

Ledwie hajdamak tych słów domówił, kiedy u drzwi dały się słyszeć silne pukania. Fogelwander zostawił Trokima bez odpowiedzi i pospieszył odsunąć rygiel. Do celi weszli przeor, doktor i Bamber.

— Ojcze kochany — rzekł Fogelwander — nasz chory zrzuci już teraz płótniankę. Możecie go teraz przebrać w czystą odzież — nachylając się do przeora, dodał z cicha:

— Mam słówko pomówić z tobą, ojcze.

Zostawiając Bambera przy chorym, wyszli obaj na korytarz. Fogelwander trzymał w ręku dukaty Trokima.

— Wasz klasztor jest ubogi, ojcze — rzekł do przeora — narzuciłem wam chorego, który was na koszt naraża. Oto, czcigodny ojcze, trzydzieści dukatów za hajdamaka. Ja może dziś lub jutro wyjadę, a nie wiem, czy prędko wrócę. Pielęgnujcie miłosiernie chorego, zapłaćcie leki i poczciwego Bambera, sprawcie rannemu nową przyzwoitą odzież, a jeśli co zostanie z tej sumy, rozdajcie ubogim i módlcie się, ojcze drogi za tego nieszczęsnego grzesznika... i... i za mnie.

Mnich trzymał w ręku dukaty i milczał, jakby z wielkiego zdziwienia.

— Ojcze drogi — rzekł Fogelwander — czy modlicie się i za tych, w których szepce głos pokusy, a słabi, są, aby go stłumić?

— Modlimy się synu, ale...

— Ot! to niech Bóg waszych modłów wysłucha — przerwał dziwnym głosem Fogelwander.

Sędziwy mnich spoglądał na Fogelwandra ze zdziwieniem. Chciał przemówić, gdy Fogelwander nagle zapytał:

— Ojcze, czy z tej celi łatwo uciec?

— Cela ma silne kraty żelazne, mur gruby forteczny, okno leży wysoko. Cela ta leży od obronnej strony klasztoru.

— To dobrze, zapomniałem o tem — rzekł oficer — od dzisiaj będzie tu przychodził żołnierz i strzec będzie drzwi od korytarza. Ale ojcze drogi słowa kapłańskiego się trzymam. Aż do pewnego czasu wszystko jest tajemnicą.

I nie dawszy nawet odpowiedzi zakonnikowi, zniknął w długim korytarzu.

VIII.

Szturm.

Wyszedłszy z klasztoru, Fogelwander czuł się prawie odurzonym. Jedna myśl po drugiej cisnęła się do głowy, a żadną nie mógł się zająć spokojnie.

Szachin, handlarz dusz, którego szept, jak syk węża, brzmiał mu w uszach; Trokim watażka, stróż ogromnego skarbu, nędzarz, posiadający klucz do złota i klejnotów, na których ledwo co zastygła krew pomordowanych ofiar; stary sędziwy Fanarjota, zrozpaczony ojciec, w końcu ta cudownie piękna dziewczyna w niewoli u zbrodniarza. Wszystkie te postacie stanęły przed rozgorączkowaną wyobraźnią Fogelwandra.

Nad wszystkiemi wspomnieniami unosił się plan ratunku pięknej i nieszczęśliwej Fanarjotki. Trzy dni ubiegały z dniem jutrzejszym — kampanję należało rozpocząć natychmiast.

Ale jak wziąć ku temu zasoby? Ostatni grosz, tak ciężko okupiony, pojechał w daleki świat razem z włoskim awanturnikiem, Fogelwander nic już nie posiadał.

W tej chwili przypomniał mu się pognieciony pierścień watażki. Wyciągnął klejnot z kieszeni, spojrzał na kamień kosztowny niepospolitej wielkości i zadrżał prawie. Zdawało mu się, że ten świetny brylant pali takim samym dzikim, nieczystym ogniem, jak oczy hajdamackie, że w blasku jego mieni się krew i łuna pożaru.

Zdawało się Fogelwandrowi, że przywłaszczając sobie ten pierścień, poślubia zbrodnią, że nim jakby ogniwem łączy się z nieczystą pokusą, która przemawiała z opowieści watażki. Ale oprócz pierścienia nie miał Fogelwander nic, czemby ułatwić sobie mógł wykonanie najdroższego zamysłu. Ten klejnot złowrogi miał mu posłużyć do uwolnienia pięknej Fanarjotki.

Nie wahał się długo. Postanowił zapytać o wartość klejnotu i dać go w zastaw za sumę skromną, któraby mu pozwalała wybrać się w towarzystwie kilku żołnierzy na kilka dni do Brodów. Był wówczas we Lwowie niejaki Amsztel, znawca wielki brylantów i kosztowności, któremu handlował. Miał on wielki zbiór rzadkich klejnotów, a znał już od dawna Fogelwandra i jeszcze wuja jego. Do niego to udał się Fogelwander.

Amsztel znając dobrze teraźniejszy stan naszego oficera, ocenił wartość brylanta najmniej na 50 000 złotych, lecz nie przyjął go w zastaw, tylko jako dawnemu znajomemu pożyczył mu sto dukatów. Fogelwander zawahał się chwilkę, nie wiedząc czy ma przyjąć pożyczkę od szlachetnego kupca. Po chwili jednak odebrał sumę i ściskając dłoń antykwarza, zapewnił go o swej wdzięczności, gdyż postąpił z nim jak z synem, ratując go może z nad dna samego przepaści.

Łzy zakręciły się młodemu oficerowi i jakby się ich wstydził, odwrócił się i szybko wybiegł. Spadł mu ciężar z serca. Wesoło szedł prosto do kwatery komendanta Lwowa, pułkownika Korytowskiego, aby prosić o kilkudniowy urlop zaraz od jutra. Gdy wszedł do przedpokoju, uderzył go na wstępie ruch jakiś niezwykły. Ordynansy biegali i wybiegali, nagle wybiegł sam Korytowski.

— A rotmistrzu, drugi raz już posyłam po waćpana!... Proszę za mną.

Gdy weszli do ubocznego pokoju, w którym nie było nikogo, pułkownik zatrzymał się i rzekł żywo:

— Czy wiesz hrabio o najnowszej depeszy?

— Nic nie wiem, mości pułkowniku.

— Konfederaci na karku! — zawołał Korytowski. — Właśnie powróciły furwachty, które starły się z nimi o trzy mile pod Lwowem.

Wiadomość ta sprawiła na oficerze podwójne wrażenie. Obeszła go najpierw żywo, jako żołnierza; była dlań niespodzianką przykrą, bo udaremniła zupełnie wszelki, choćby najkrótszy urlop.

(Ciąg dalszy nastąpi).